

ORĘDO WNİK

NAUKOWY.

Spis rzeczy **23** Numeru: *P. W. Listy pisane do żony z podróży po kraju z roku 1840. — Dokończenie Rozbioru obyczajowego utworu dramatycznego P. Korzeniowskiego pod nazwą „Żydzi.”*

P. W. LISTY

pisane do żony z podróży po kraju z r. 1840.

(Ciąg dalszy).

U pana marszałka Wasilewskiego poznałem trzech młodych ludzi, którzy mię bardzo zajęli, bo zdaje mi się, że będą pracować na polu literatury. Pierwszym był Pan Duczyński matematyk, młody człowiek, który niedawno otrzymał stopień doktora filozofii. Professor Strażnicki w Wiedniu, pod którego okiem kształcił się Duczyński, obiecuje wiele po nim. Drugi Jan Dobrzański, oddaje się wyłącznie filozofii i będzie się doktoryzował z tego przedmiotu. Chciwie polyka on filozoficzne systematy i żyje jeszcze cały w świecie abstrakcyi, lecz że to jest człowiek jeszcze bardzo młody, więc łamie się z sobą i z ogromem umiejętności i z językiem. Zdaje mi się także, że mu jeszcze bardzo bruzdzi fantazya, ale się to wszystko zrównoważy, wywalczy on sobie z czasem niezawisłe stanowisko umysłowe. Dziś czerpie on tylko z wła-

snój treści wszystko i bierze częstokroć obraz, który mu wyobraźnia nastęrcza za dowód, lub wywód loiczny. Trzecim, którego poznałem jest Szajnoha, także młody jeszcze człowiek, który jednakowoż już przeszedł czas negacyi duchowej i organiczną myśl przenosi na obszary historii powszechnej. Czytał mi swoją rozprawę, a bystrością umysłu, przypomniał mi bardzo zamego Pilata z czasów naszej młodości. Rozprawa ta jest pewnym rodzajem filozoficznego rachunku. Swiejące punkta w historii zamienia on w pojęcia, a pojęciami liczy ściśle, jak gdyby cyframi. Jeżeli substytucya historycznych faktów na pojęcia jest prawdziwą, niema co powiedzieć o rachunku, bo jest ściśle loiczny. Zrobiłem mu jednak uwagę, że tego rodzaju prace, nie są u nas jeszcze na dobie, bo aby je należycie można pojąć i ocenić, na to potrzeba znać całą sferę historii i filozofii dokładnie. On sam uważa tę pracę za studia, obadwa z Dobrzańskim żyją w przyjaźni i sądzę, że się z korzyścią dla kraju wykształcą, chociaż nie wiem, czy nie zmieniają przedmiotu, bo umysł obudwu

rozstrzela się jeszcze i rośnie w różnych kierunkach.

Pan Marszałek czytał mi wyjątki swojego Pana Szymona, który jest dalszym niby ciągiem Pana Podstolego, albo raczej dalszym ciągiem Pana Podstolica. Sądzę jednak, że Pan Szymon jest praktyczniejszy i nie ma śmieszności puryzmu polskiego, który od Massalskiego Podstolica zraza ludzi praktyczniejszych. Wasilewski nie ukończył jeszcze Pana Szymona, nie umiem tedy dać zdania o całości, ustępy jednak, które mi czytał, są przesłizne, i prawdziwie polskiem napisane piórem i sercem.

U Pana Marszałka widziałem się także z Alexandrem Fredro, którego obowiązki deputata odjęły literaturze. Od niejakiemu czasu, poczyną cierpieć na podagrę, zdaje mi się jednak, iż lubo ucichł na czas niejaki, nie ucichł jednak nawzawsze. Dzień był piękny, czuł się dobrze, był wesoły i dowcipny, jak zwykle.

Stary Kamiński jest jeszcze zawsze ten sam: ognisty i wymowny, i niesłusznie podobno nazywał go starym. Wieczna szkoda, że ten człowiek nie ma katedry; gdy wpadnie w zapał, przybiera wymowa jego tyle prawdy, prostoty i obrazów, iż niepodobna, żeby nie przekonał słuchacza o prawdzie swojego twierdzenia. Myśli idą u niego z natchnienia i filozoficzne jego improwizacye mają w sobie więcej poezyi, niż wszystkie jego pisane poezye. Cały ten jednak magnetyzm jego ducha stygnie w piórze, lecz gdyby Kamiński miał katedrę utworzyłby dzielne pokolenie, bo posiada szczególniejszy dar rozwijania pomysłu, a to jest podobno najwyższem zadaniem mistrza.

To, co ruchem i życiem literackiem nazywają, tego niema we Lwowie zupełnie. I zkadby się wziąć miało, kiedy nikt o tem nie myśli? Znaleźliby się wprawdzie ludzie, którzyby pracować mogli, ale trudno jest, żeby dali to, czego nie mają — a tu potrzeba funduszków i nie tylko umysłowych sił, ale troszkę savoir faire, a pieniędzy jak najwięcej. Jednak że to my za-

wsze wolimy składać grzechy nasze na drugih, więc zasłaniamy się niemożnością.

LIST V.

Zapomniałem ci donieść przeszłą razą, żeś odnowił znajomość z zacnym naszym chemikiem Panem Teodorem Torosiewiczem, znanym w naukowym świecie bardzo zaszczytnie z rozbiórów chemicznych wód mineralnych w prowincyi naszej. Ze wszystkich uczonych, którzy u nas pracują w zawodzie nauk przyrodzonych, pisze on jeden tylko po polsku. Kiedyśmy się rozgadywali o geograficznem rozdzieleniu źródeł mineralnych po kraju równym i wzdłuż gór, przekonałem się, że zna je wszystkie i że zgłębił ten przedmiot, a kiedyś go prosił o niektóre wyjaśnienia, powiedział mi, iż zebrał materyały do dzieła, w którem będą opisy i rozbiory wszystkich źródeł mineralnych, jakie się tylko znajdują w prowincyi naszej. Pomimo to jednak, przyrzekł mi wygotować dla mnie notaty dotyczące się geograficznego rozdzielenia źródeł mineralnych, i dziś rano przyniósł mi kilka arkuszy notat swoich, i wszystkie swoje broszury, które dotąd z druku wyszły. Rzecz jest bardzo krótka, ale treściwie opisana. Oznaczył wszystkie źródła dokładnie, których rozbiory są dotąd znane i nieznane, i przechodowe ogniwa, w których pewne rodzaje źródeł przechodzą w inne.

Lobażewski zamysła zbierać rośliny, podróż nasza pójdzie tedy nieco powolniej, niż sądziłem. Dowiedziałem się także od niego, że się zna z Panem Konstantym Piotruskim, którego poznać pragnę, będziemy tedy w Podchorodcach i jutro wyjeżdżam ze Lwowa.

LIST VI.

Od trzech tedy niedziel jestem znówu w górach na wierzchowinie Stryja i Oporu w krainie Bojków, których granice odznaczaliśmy na karcie niegdyś z Edmundem Krasickim, bardzo dobrze, jak teraz widzę. Mało mam wprawdzie czasu robić obecnie etnograficzne poszukiwania, mi-

mowolnie jednak cisną się uwagi na widok tak żywych, tak wymownych zarysów, któremi uderza życie, tego górskiego szczepu. Bojki osiedli całą wierzchowinę dniestrową, od łomniarskiego starostwa, poczynawszy na pograniczu ziemi sanockiej ciągną się ich siedziby ku wschodowi, wzdłuż gór na źródłowskich Dniestru, Stryja, Opora, Swicy, Łomnicy, aż po źródła Bystrzycy. Pospolicie nazywają ich szpetnie Bojkami, oni jednakowoż nie radzi są nazwisku temu, i nazywają się Wierzechowienkami, a krainę swoją aż po wzgórza Wierzechowiną. Pośrodku tej krainy leży na polaci Opora i Orjawy rzeki, 24 wiosek należących do państwa Skolskiego, i te porzeczają lud Tucholszczyznę, a mieszkańców Tucholcami nazywa. W istocie różnią się Tucholcy i strojem i zakładem swych wiosek znacznie od Bojków, którzy oskrzydłili ich siedziby od Zachodu i Wschodu, aż po grzbiet graniczny Beskidu. Cała wierzchowina dniestrowa zdaje się być krajem dawniej daleko osiadłym od ziemi sanockiej, a miejscowa cywilizacja Tucholszczyzny jest niezawodnie najstarszą. — Już sama roślinność dowodzi, że tu od wielu wieków osiedli ludzie, bo pierwotne jej ślady znikły. Okolica jest bardzo przetrzebiona i zmieniła swoją fizjonomię. Za miasteczkiem Skolem zaczynają się siedziby Tucholców, wzdłuż Oriawy i Oporu. Budowa Cerkwi jest tu bardzo starożytną, chaty mają podświetlenia do koła, są obszerne, wygodne i dobrze zbudowane, a rzeźby bardzo misterne miejscami, któremi są chaty ozdobione, przypominają rysunkiem styl bizantyjski cerkiewny. Tucholce nie noszą burek podobnych, jak Bojki, ani czapek baranich spiczastych, ale krótkie góralskie guńki z sukna i czuchanie takie same, jak górale w Sanockim, a na głowie krasalnice okrągłe lub krągłe magierki z futrem, są też wzrostu lepszego od Bojków, szlachetniejszych rysów i łagodniejszego obyczaju, trudnią się chowem owiec i mniej chodują bydła, nie furmania, też solą, jak podróżni Bojkowie, ale radzi sie-

dzą doma. Cała ta okolica była niegdyś królewską i dworów tu nie ma ani łanów dworskich w pierwotnym zakładzie wiosek. — Wojtów swoich nazywają oni Kniaziami, i kiedy „tokma staje“, to jest kiedy z innych okolic przybywają górale w Tucholszczyznę za kupnem owiec, wówczas schodzą się wszyscy Kniaziowie z całej Tucholszczyzny na radę, i oznaczają cenę, po jakiej na ten rok ma iść w targ owca z jagnięciem, a postanowienie ich jest wyrokiem dla całej Tucholszczyzny, i nikt nie sprzeda, ani nie kupi po innej cenie statku. Ta wspólność Kniaziów jest niezawodnie bardzo starożytnym zabytkiem, który daje wiele do myślenia, a którego nie ma pono śladu gdzieindziej. Żałuję, że się nie mogę oddać na teraz więcej poszukiwaniom tego rodzaju, lubo co do geograficznego rozdzielenia tych góralskich szczepów staram się wszystko zachować, co by mnie, lub komu innemu ułatwić mogło na przyszłość robotę i dalsze poszukiwania.

Nie dziw się, że teraz listów odemnie odbierać nie będziesz, bo jestem oddalony od poczt i gościńców, a nadto jeszcze ciągle w ruchu, nie chcąc tracić czasu i potrzebując być w kilka godzin na coraz innym stanowisku dla obserwacji barometrycznych. Wielka to jest praca i tylko w kampanii można zaznać tyle trudu. Przed wschodem słońca potrzeba już być na nogach, a o zachodzie robimy zazwyczaj ostatnią obserwację. Tutaj czasy wypocząć już było — ale potrzeba jeszcze porządnie spisać dziennik podróży, i zaciągnąć obserwacje w książkę, bo liczby i notaty przez dzień ołówkiem spisywane zacierają się, a tyle się zbierze codziennie i nazwisk i wiadomości miejscowych, iż gdyby tego nie zapisać w dziennik, podróż byłaby daremną — dodaj do tego, iż na jeden dzień potrzeba często-kroć dwa a nawet trzy razy zmieniać przewodników, że każda obserwacja z dobytciem i z chowaniem instrumentów trwa trzy kwadransy, że potrzeba pomyśleć o jakim pożywieniu, wysuszyć się po deszczu itd. a wyobrazisz so-

bie, że przez cały dzień jestem zajęty. Po górach odbywamy po największej części podróż pieszo i Jasio zostaje nieraz na dwa dni podróży oddalony od nas z rzeczami i końmi, więc nowa trudność powstaje ztąd, jak się połączyć. Łobażewski zbiera rośliny a szczególnie mchy, których monografią zda się wypracuje kiedyś, a kiedy ja w wieczór dziennik spisuję, ma on zabawkę z przekładaniem i przesuszaniem roślin. Dwóch jest zamalo do takiej podróży, zdałby nam się przynajmniej ktoś trzeci, byle jaki próżniak, coby myślał o jedzeniu i piciu, ale na to trudno znaleźć ochotnika, bo przy najlepszych chęciach żyjemy chlebem, wódką, mlekiem i pięknymi widokami. Przypominam sobie, co jeden z naszych dowcipnisiów pod tym względem o górach powiedział: „Tam raz tylko jeden wróbel nieszczęściem zaleciał i z głodu zdechł!“ W istocie zasługuje na uwagę, iż gromady nielicznych żółto-brzuszków zajmują tu miejsce wróbli, a wróble pozostają przy ostatnich dworach szlacheckich, jako rezydenci. Przekonywam się teraz jeszcze więcej o tem, że Napoleon miał bardzo wielki rozum, kiedy stu uczonych wsadził na osły w Egipcie i otoczył ich wojskiem. Namby się choć jeden osioł przydał, coby nosił za nami bibułę, albo choć jeden Napoleon, coby liczbę uczonych ukompletował, i uczonych na osły wsadził. Miły jest bardzo towarzysz z Łobażewskiego, bo nigdy nie traci fantazyi w najgorszym nawet razie, i umie się zabawić pociesznymi figurami, na które natrafiamy po drodze. Jedną z takich kapitalnych figur jest Pan Szymon szlacheć górski, któregośmy poznali u dowódcy straży pogranicznej, kiedyśmy chcieli dotrzeć do źródeł Stryja. Pan Szymon ofiarował nam pomoc swą i obrał się za przewodnika, zapewniając, że zna całą okolicę, chociaż Łobażewski mówił mu zaraz: „ja mu z nosa widzę, że tam nie był jeszcze.“ Kiedyśmy wyruszyli upewniał nas, że tego samego dnia jeszcze, lub nazajutrz najdalej powrócimy. Wybrał się letnio i konno, a miasto dnia jednego,

trwała wyprawa trzy dni, bośmy zwiedzili cały łańcuch Polonin na źródłowskich Stryja. Pan Szymon nie miał się czem okryć w nocy i koń wypowiedziawszy mu służbę, drapnął sobie do domu, bo pomiarkował, że to nieprzelewki. Było więc i chłodno i głodno i do dom daleko. — Pan Szymon wpadł w taką rozpacz w końcu, iż wyprawiał monologi załamując ręce: „czy mnie też potrzeba tego było, gdyby człowiek znalazł przynajmniej ze dwie borówki, żeby duszę ochłodzić.“ Ile mu z jednej strony chłód i trud dokuczał, tyle dręczyła go z drugiej strony więcej jeszcze trwoga, żeby nie nastąpił na jakie zioła szalone, na jakie czary połonińskie. Ostrożnie tedy stawiał każdy krok i z obawą wypytywał Łobażewskiego o własność ziół. Obok tych przesądów miejscowego ludu należy P. Szymon także do ludzi postępowych i bawi się geologią, a szuka całe życie po potokach złotej i srebrnej żyły. Nadzieja, że wspólnie z nami prędzej się doczeka tych skarbów, wywiodła go w Poloniny i z wielkiem niedowierzaniem spoglądał na nas, gdyśmy mu pokazali w kilku potokach ubogie tylko rudy żelazne. Dowiedzieliśmy się później, że szukanie skarbów jest jego umysłową chorobą, że od lat wielu śni i marzy o złocie, podobnie jak owi hiszpańscy Minerowie w Ameryce południowej.

Przedwczoraj mieliśmy bardzo zabawny ekwipaż, bo mały wózek góralski ciągnięty czterema węgierskimi rogaczami, ten wiózł żywność, zielnik i rzeczy nasze. Noc spędziliśmy na połoninie przy źródłach Stryja, paląc wielkie ognisko i słuchając zajmujących góralskich powieści o rozbójniku Doboszu. Na dwanaście szabel od źródła, miał tu Dobosz zakopać swe skarby pod starym bukiem, i przekazał je temu, do kogo buk przemówi. Ile to w tem poezyi! Noc była śliczną, od węgierskiej strony dolatywał nas do późna odgłos ligawek. W pobliżu pasły się woły, w małym źródelku drzala jedna gwiazdka. Cały nasz obóz usnął — ja nie mogłem spać, myślałem o tobie i dzieciach, o Doboszu i skar-

bach pod starym bukiem zaklętych, i o tej wielkiej dolinie, co się od tego źródła przeciągnęła na Północ i Wschód, aż ku morzu. Powietrze było tak czyste, tak lekkie, piersi takie wolne, gwiazdy takie jasne! Mimo utrudzenia bałem się usnąć, żeby nie stracić tych pięknych widziadeł, bom był bardzo swobodny! Dobosz był wielkim poetą, nieszczęśliwą poezją jego zrozumiałem w cichym szumie tych buków, w żalosnym poświście tych jodeł. Chory stan społeczeństwa wydał tego rozbójnika poetę, i stworzył naszą dzisiejszą poezją — wpadłem nawet na myśl, że naszemu to pokoleniu są przekazane owe skarby, bo do nas przemówiły buki. —

Z tego listu widzisz moja duszo, że jeszcze nie bardzo zestarzał, lubo już siwe włosy przepruszają głowę. Zabawna to rzecz jednak wracać po takich poetycznych wybryczkach do obserwacji barometrycznych. Czuję to, że mnie ta podróż odświeża, tysiączne obrazy tłoczą się do oczu i potracają myśli. Wszystko, o czym zaledwo marzyć śmiałem, co sobie wyobrażałem siedząc przy stoliku nad kartą, znajduję teraz tutaj stwierdzone na miejscu, aż do grymasu sprawdza się wszystko, i ta rokosz jest prawdziwą. Wszędzie wiedzie natura człowieka za rękę, jak matka pełna miłości, i w miejscowym położeniu geograficznym ludu, leży klucz do dziejów jego, a to co jest prawdą i prawem dla rośliny, dla zwierzęcia, jest także prawdą i prawem dla człowieka, i biada mu, jeżeli jej nie pojmie, bo natura mści się swą zniewagi.

LIST VII.

Dotąd jeszcze bawimy w okolicy Klimca i wczoraj powróciliśmy z góry Huśli, która jest najwyższą Poloniną w tych stronach. Grzbiet Beskidu spada tutaj bardzo nisko, porasta kosmami jodły; uprawa roli, to jest ostatnie łany owsa, leżą częstokroć na samym już działach granicznym. Buczyna i olcha zajmują tu stanowisko podrzędnej roślinności. Łagodnie i powoli

wjeżdża się tu na Wschód, ale spadek ku Węgrom jest bardzo nagły i doraźny. W głębokim wandole leży wieś Werekie na Węgrach. Jedlina przechodzi tutaj w lasy bukowe, na zboczach doliny porastają gaje jesionowe, a dołem bujne sady, zboża są piękne, a w ogrodach widziałem nawet kukurydzę. Na tak małym przestrzeni, tak wielka różnica. Z tej strony chłód i cała flora północna, zielone łąki, ciemne lasy, z tamtej strony płowieje nagle roślinność, i wszystko zapowiada kraj cieplejszy. Na południowym wschodzie wznoszą się w całej okazałości góry stolicy Marmoroskiej Berzawami zwane, znacznie wyższe od naszych. Na zachodzie wystrella tu nagle i samotnie Huśla z długiego pokiego bukowego działu, który już cały na Węgrach leży i od Wschodu nagle jest ucięty, co wysokość tej poloniny powiększa jeszcze na oko. Prawdziwa to gęśl, bo gra nad całą okolicą, grzebień jej jest od Wschodu mocno potrzaskany, i już na kilka mil z Beskidu widać te kamienne łomy, poniżej nich ciągnie się smuga zielonych połonin, niżej jeszcze ciemniej gęste bukowiny, a całość odrzyna się w bardzo malowniczych zarysach na seledynowym tle nieba. Huśla nie łączy się tak bystreimi przyporami z Beskidem, jak zazwyczaj inne połoniny. Uprzedzono nas, że jest dostępną i wyruszyliśmy konno o świcie z Klemca. Upał był nieznośny i dobrze już z południa stanęliśmy na jej szczycie. Łobazeski zasmucił się bardzo, bo znaleźliśmy całą poloninę wypasioną i od dwóch tygodni opuszczone szalase. Sam tylko skalisty czubalek, gdzie bydło dojść nie mogło, został nietknięty, jak gdyby umyślnie dla nas zachowany.

Cóż to za cudowny widok odsłania się oczom z tego skalistego cypliska! Na zachodzie widać było pasmo połonin sanockich i poznaliśmy pojedyncze staliste czubalki; sanocką Rabkę, Tarnoską poloninę i Hnatowe Berdo w oddaleniu, a bliżej Poloniny leżące nad Uszokiem. Na północy widać było pasmo Polonin stryjskich,

które już w drugim rzędzie gór leżą od doliny Dniestru. Widać było Korczankę, którąśmy przed dwoma tygodniami zwiedzali, a dalej Zielemín nad Skolem. Na wschodzie ćmiły się sine góry Pokucia, a dalej jeszcze zasiały szerokiem gniazdem na węgierskiej stronie Berzawy. Po między temi wynioslejszemi punktami zapadł się niby kraj w stu pomniejszych górach i krętych dolinach, okrytych czarnemi lasy, przerwanym smugami wiosek i pól ornych. Parno i cicho było w powietrzu. Nad Zielemínem zbierały się czarne chmury, nad górną granicą buczyny tłukły się z wrzaskiem kanie, a lotny rój jaskółek wrózących burzę, przewijał się nad naszymi głowami. Barometr niechciał statkować, stan jego zmieniał się z każdą chwilą, niemożna było zrobić obserwacyi, jakoż zajmował nas w tej chwili więcéj widok zbliżającej się burzy.

W kraju równym kiedy burza nadciąga, okrywa się w jednej chwili całe niebo szarym całunem i nic nie widać. Tutaj zebrały się chmury w jeden wielki czarny kłęb, przeciągnęły się późniéj grzbietem Zielemínu, widać było jak się tworzyły, jak rosły, jak się wylały deszczem i potokiem błyskawic. Ledwo że nas słabo tylko dolatywał odgłos grzmotów, a cały świat przed Zielemínem i za nim pływał jeszcze w słonecznej powodzi. Równo odrzynała się chmura u góry na pogodnem niebie, długie smugi deszczu zakrywały na chwilę część tego zajmującego obrazu, a tam kędy już ustąpiła burza, dymiły się znowu z pomiędzy wyłomów czarnego lasu trąby białej pary ku górze, i ten chłodny koloryt świeżo splukanéj okolicy odbijał dziwnie, przy téj sinéj powłoce strzeżogi, którą był zadęty świat wszystek. Szybko ciągnęła chmura ku nam, z każdą chwilą słyhać było wyraźniéj grzmoty, z każdą chwilą zapalały się i gasły nowe tęczę. Górale ostrzegali nas, żeby uchodzić do szałasu, grożąc, iż ze szczytu Huśli burza porwać może człowieka. Nie było jednak obawy, bo kiedy się już cały Beskid zakurzył

w deszczu, zmienił się wiatr w jednej chwili, pociągnął nagle od Węgier i rozpędził burzę.

Noc spędziliśmy w węgierskim szałasie, który już był opuszczony, lecz lepiéj zbudowany, niż to zazwyczaj bywa, i zamknięty na zimę. Żesmy po klucze nie posłali do Węgier, domyślisz się zapewne. Kiedyśmy już szałas zajęli, usłyszeliśmy w niejakiem oddaleniu przerażliwe ujadanie psa, zdziwieni, co w takim oddaleniu od mieszkań ludzkich pies robi, szliśmy za głosem, i znaleźliśmy małą suczkę z trojgiem szczeniąt w gnieździe między jałowcem, z tych żyło już jedno tylko, a suczyca ledwo co się zwlokła do nóg naszych, tak była zgłodniała i wyschła, a jednak nie opuściła swych szczeniąt. Znać ją tu zapomnieli, albo szczeniąt odstąpić nie chciała, kiedy z polonin schodzili pasterze, wzięliśmy ją i szczenię na ręce, a dziwne wrażenie sprawiła na wszystkich przytomnych ta czulość biednej bestyjki. Odżywiła się jeszcze tego wieczora i biegła przy koniach, nazajutrz darowałem je dzieciom naszego gospodarza w Klimcu, wraz z szczenięciem i nazwało ją Huśla.

Cały drugi dzień zeszedł nam jeszcze na Huśli, i bardzo późno w nocy powróciliśmy do Klimca. Na węgierskiej zboczy znajdują się źródła przepyszne i tak obfite, jak to się rzadko na poloninach zdarza. Woda miała zaledwo półtora stopnia ciepła, chociaż dzień był bardzo gorący. Około południa usłyszeliśmy granie fujarek od Polski i dwóch górali przygnało ku nam owce, a napiwszy się z nami wódki, pokazali nam na szczycie Huśli kamień, nazwany „łozem królowéj Bony.“ Wszystkiego spodziewałem się prędzej, jak tego, żeby znaleźć tutaj nawet podanie o królowéj Bonie. Mówili nam, że się tu na Huśli, zjechała królowa Bona, przybywszy z Krakowa z królem Węgierskim, który od Dunaju ściągnął z ludźmi swymi; mówili nam, że się odbyło wielkie polowanie na siwe jelenie, i że królestwo wraz z swym orszakiem spędzili noc na wysokiéj poloninie. Nie

przypominam sobie, żebym kiedy był czytał o podobnym zjeździe. To pewna jednak, iż niemożna było obrać piękniejszego miejsca do wielkiej okazyi. Dziwny charakter mają te wszystkie podania o królowej Bonie — tutaj przechował kamień, jój łóżem nazwany, pamięć rozkoszaicy. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

K R Y T Y K A.

Rozbłór Obyczajowy utworu dramatycznego Pana Korzeniowskiego przedstawionego na scenie naszej w Grudniu 1843. r. pod nazwą „Zydzi“ Komedia w 4ch Aktach.

(Dokończenie).

Tak jak Hrabia Ponicki, M. Zadziernoski — Pazurkiewicz — Rubelkoski przedstawiają znikczemnienie i zepsucie człowiecze; P. Szenionowa — Hr. Ponicka — Goldberg — Brzydkiewicz jego śmieszności. — Komornik Staroświecki i Aron prawość roztropnych podciwskich. — B. Izajewicz charakter prawy prawdę pojmujący w doświadczeniu cierpkim z rezygnacją szczęścia osobistego; tak Księżniczka i Komornikiewicz Antoni są jedynie reprezentantami wyższego umysłowego życia, duchowego rozwijania się prawdy, panującego nad dowolnością zmysłowego życia — łączącego się jednak z takowem w jedno-zgodną całość ku utworzeniu zadowolenia duszy człowieka w życiu doczesnem. —

Autor zapominał o przeznaczeniu, jakie zdaje się tym dwom charakterom w obrazie wydzielił — w których szczytność i szlachetność duchowa niepowinna się wypierać człowieczeństwa dla mrzoaki rozmysłem, jako prawda pojąć się niedającej; — lecz powinna panować nad zmysłowością, jako nad kapryśną dzieciną; pozwalając jej jednak zadowolenia chęci niemającej sprzeczności, z potrzebą prawdy i jej prawami. Pojmujemy poetyczne uniesienia, pojmujemy religijno-fanatyczny zapal siedmiowiekowego młodzieńca, porzucającego kochankę, by walczyć z niewiernymi o ziemię świętą; — pojmujemy zapal patryotyczny; ba nawet uniesienia wyobrażeń stronnicych odbywających się z łona miłości, by walczyć za swobodę, za zdanie — za honor, pojmujemy zrzeczenie się uczuć szlachetnych wywołanych rzeczywistą przeszkodą przemocy, ślubem świętym — poprzesztających z Platonem, Pe-

trarką na miłości duchowej czysto-anielskiej; lecz niepojmujemy poetyczno-rozumowej przyczyny w rezygnacji bezwzględnej Księżniczki i Antoniego, dwóch Istot, których prawdziwa miłość zrównała — miłość prawdziwa, która równie, jak mądrość niezna nierówności — i łączy dwie dusze w jedność harmonijną. — Niema dla niej arystokracji lub demokracji, różnicy narodowości lub wyznań, jest ścisłą równością, a gdzie tej niema, niema równowagi, ani miłości, ani mądrości. — Byłby się przydał wzór prawdziwej mądrości — szlachetnej dumnej w uczuciu swej godności — wyższej nad wyobrażenia pozorne stronnictw, równającej się z każdą prawdą, gdziekolwiek się objawia — byłby przeciwnością charakteru Hr. Ponickiego, łatwą do pomieszczenia w miejscach przydługich scen Ciotuni i niektórych lokalności. —

Autor zapomina o prawdach życia — o niemożności przeciwnienia tego, co niebyło wiecznością w przeszłości, o istocie godności i wartości moralnej, o jej powszechności i równości w człowieczeństwie; zapomina o powstaniu Dynastów z ludu, o ich koniecznem się przeżyciu w szczegółowym rodowym odosobnieniu, a jakby szaleńcem religijnie obrobionego materializmu owiany, zostaje przejęty cześcią dla przeszłości, dla imion historycznych, zaszczyca nią z woli Bramy indyjskiego ustanowioną wyższość kastową, i poświęca dla niej logiczne rozwinięcie dwóch dusz najpiękniejszych i zmienia je w końcu w dobrowolne ofiary bezrozumnego dziś przesądu — pozwalając nieprawości do końca bezkarną rozpustę. —

Antoni Staroświecki nieposiadał nawet tyle rozsądku, — tyle zapalu — aby choć na chwilę bronić swej miłości droższej mu nad życie przeciw słabym wyrzutom ojca — zostającego zmlodu w stosunkach podległości — przesiąkniętego nałogowo uniżonością dla Panów — czującego się nawet do wdzięczności za zarobek przeciw prawdzie w narodowym gospodarstwie dowiedzionej: „Ze pracujący nie ma obowiązków poczuwania się do wdzięczności ku płacącemu, jeżeli nie otrzymuje nad wartość pracy jakowej jeszcze darowizny.“ — Dla uśmierzenia gwałtownych uczuć młodej poetycznej duszy dostatecznem było obudzenie śmiesznej dumy zasadą Cezara. Pierwszy w najlichszem miasteczku, nie drugi w Rzymie, od Komornika źle zastósowaną. „Woli by był pierwszym pomiędzy Ekonomami, niż ostatnim między Panami — śmieszna nawet w usciech Człowieka do podległości nawykłego, i wszędzie ją ukazującego. — Wszakże z Księżniczką żoną niepotrzebował się mieszać między utytułowanych Panów, nieposiadających w dawnej Polsce żadnych prerogatyw. — Jestto wyobrażenie nawet nienarodowe. W Polsce zasługa i kolligacja nadawały majątki i zaszczyty, szanowano je w osobistości, ale nie w potomności. — Zaden wolny szlachcic polski nie pomyślał nawet o tem, jakoby godność przyrodzona jego była niższą, lub nieby-

ła godną kolligacyi z jakimkolwiek rodem w świecie. — W Polsce była zupełna równość w stanie uprzywilejowanym szlachty, naród właściwie tworzącej. — Wielkie imiona miały przewagę; bo posiadały wielkie mienie, a szlachta dworowała tylko temu Panu — który ją dostatkami zniewolił. — By imieniem przewagę, ale nie potęgę zachować, starali się możni o kolligacyą między sobą. — Nawet książęta litewsko-ruskie nie miały podług ustaw, przywilejów wyższych od szlachty, i więcej powagi nad Górków, Herburtów, Tarnowskich. —

Lecz Antoni nie miał, ile sądzę, wyobrażać narodowości Szlachty polskiej; ale ducha czasu naszego, w którym wartość osobowa bezwzględnie na urodzenie, uczczenie odpowiednie znaleźć powinna. — Księżniczka wzór pięknej kobiecej duszy, nie miała ani tyle dowcipu, ani przenikliwości swojej płci właściwej, by choć jednym kobiecym zarzutem, bodaj zapewnieniem, że kochana od ojca, byłaby pewnie wyślagała szczęście swoje, pokonać pokorną i służebną prawosć staruszka i jego Suwarowskie myśli. — Autor niewystawia nawet na jaw uporu Komornika niezłomnego, niczem nieprzepartego — by nadać rozumną przyczynę uległości kochanków poświęcających swą przyszłość opiece niebios. — Antoni nieokazał w ciągu działania cienia płochości — Księżniczka cienia dumy, by urażona osobista godność któregośkolwiek z kochanków zniewolona była do wyrzeczenia się swego szczęścia. — Księżniczka nieokazała w początkach słabego charakteru — a Antoni nie był drugim Stasiem głupstwem własnemu swą niedolę przypisać mogącym. — A przecież Autor zwichnął gwałtownie dwa prawe charaktery siły duchowej w dziecinno-uległe, bezmyślne, przerażające je niejako widmem wymarzonem. — Najgorętsze ich pragnienia serca skrzepły, gdyby sybiryjskim wichrem obwiane. — Najistotniejsze szczęście poświęcają wyobrażeniom urojonym, jakby prawdom niemylnym — i zostają dobrowolnymi ofiarami fanatycznej cześci dla zwierzęco-człowieczej godności; by krew książęcia nie została pohańbiona krwią szlachetnego człowieka. — Nielepiej było, zachowując zasadę roślinno-organiczną, gdy szlachetne drzewo usycha, zdrowe jego latorośle należy szczepić na świeżych czerstwych pieńkach — a nie na spróchniałych równie konarach, i zakończyć sztukę zgodnie do jej prawideł — wymagających odpowiedności z naturą. — Połączenie Antoniego z Zofią byłoby obrazem połączenia niedorzecznych stronnictw, po-

łączeniem przeciwieństw; — lecz Autor pozostawił obydwa stronnictwa w rozdzieleniu, jakby to dzisiejsza rzeczywistość była prawdą niemylną, która na całą wieczność pozostać musi. — Miałaby Autor być jedynie rozumnym kapłanem nierozsądnej wiary, — który nicś pojmuje; a przecie jeszcze boskość w niej wietrzy i do życia powołać usiłuje? — O nie! niemogę dopuścić, by nim powodowała ta karłowata poddańcza myśl, nieprzydatna nawet jednostronnemu zmysłowemu życiu w społeczności, która niby mara ciemnoty i niewoli władała piórem Bejły w mieszaninach, wyszydzonych od Autora w rozmowie Goldberga z Antonim.

Niepodobna, by się to widmo miało dotknąć pęzla Autora dla wyciśnienia swego piętna w duszy jego obrazu i sponiewierania tej trocha ludzkiej godności i wolności duchowej, która się w biedzie i ucisku z ludu wydobywać usiłuje ku jego i Bożej chwale. —

O nie! to obraz nieukończony, rzucony niby krwawe zwłoki Lukrecyi, od Brutusa Rzymianom wskazane, by ocucić z letargu uspiąną godność ludzkości i pobudzić ją do otrząśnięcia z siebie jarzma niedoli, jarzma własnych błędów tem sromotniej hańbiącej, bo jest wypadkiem dobrowolnego uniekzemnienia, dobrowolnego upokorzenia i zniewolenia bóstwa człowieczego przed jego własną zwierzęcością. — Księżniczka oddała się w ustronie swobodniejsze, by chwilę pokutować za niedorzeczność ludzi, a pocziwy Antoni fantazuje w chwilowym obłąkaniu, czyniąc niedorzeczne śluby, dla wyszydzenia znikczemniałej zgrai. — Wnioski o skutkach znikczemnienia i podłości — wymiar ohydy i kary, które mu przynależą w oświehleniu panującej prawdy, zostawił Autor wyobraźni publiczności. — Pod względem poezyi napróżno szukałbyś w najnowszym tym utworze muzy Pana Korzeniowskiego, tych uroczych farb bujającej wyobraźni — tych szczytnych myśli, któremi Autor z rogu obfitości swego talentu w innych utworach tak szczodrze nas obsypywał. — Tą razą chodziło o coś większego, jak o poezję — o prawdę — a tę Autor jakby w Czarnoxięzkiej latarni w całej nagości i rzeczywistości nam przedstawił. — Cześć więc Autorowi „Starego męża“ i dzięki mu za ten nowy rodzimy utwór. —

Lwów 10. Grudnia 1843.

K. T.

OREDOWNIK wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata półroczna wynosi 9 Złtp. Prenumeratę na Orędownik przyjmuje tylko KSIĘGARNIA NOWA i wszystkie król. pocztamty.